

„Przeszłość to nie tylko to, co ci się przydarzyło...”

AUTOR: SYLWIA GÓRA

„**To nieprawda, że nie można wejść** dwa razy do tej samej historii. Można. To właśnie będziemy robić” – mówi jeden z bohaterów powieści *Schron przeciwczasowy* bułgarskiego pisarza Georgiego Gospodinowa, na wątkach której oparty jest spektakl Marcina Wierchowskiego. To zdanie doskonale wprowadza nas w opowieść rozgrywaną na scenie.

■ Motyw pamięci czy podróży w czasie jest dla Gospodinowa bardzo charakterystyczny. Podobny zabieg pojawia się w jego wcześniejszej książce – *Fizyce smutku*. Najlepiej pamiętamy bowiem sceny z dzieciństwa, a także z najmiłszych oraz najstraszniejszych chwil. Ważne są też smaki i zapachy. To one odróżniają konkretny moment od innego, jedną epokę od drugiej. Ale jak w zasadzie działa pamięć? Czym jest pamięć jednostkowa, a czym pamięć narodów? Czy aby na pewno pamiętamy tak samo to samo wydarzenie? I czy – jak pyta jeden z bohaterów książki – „wspomnienie o szczęściu to na pewno szczęśliwe wspomnienie”? Co zrobić ze wspomnieniami niechcianymi albo jak odzyskać pamięć utraconą? Takie pytania zadaje sobie dwóch głównych bohaterów powieści, których na scenie zastępują dwie kobiety. Zamiast mężczyzn – Gaustyna oraz narratora – mamy Gabi Gaustyn (Małgorzata Gałkowska) i Martę Karel (Anna Paruszyńska-Czacka), które prowadzą niezwykłą klinikę, czyli tytułowy schron przeciwczasowy. Dla mnie to bez wątpienia bardzo dobra zmiana – opowieść snuta przez dwie kobiety wydaje się

pełniejsza, bo zwracająca uwagę na wszystkie detale, które mają dla tej historii ogromne znaczenie.

Gabi jest właścicielką kliniki i właśnie szuka kogoś, komu mogłaby zaufać i zostawić swoje „ukochane dziecko” pod opieką. Tak poznaje Martę, nie bardzo potrafiącą odnaleźć się w tu i teraz. Bo co to właściwie znaczy tu i teraz? Dziewczyna żyje w przeszłości, pracując przy rekonstrukcjach. U Gabi ma pełnić rolę architektki pokoi przeszłości. I w zasadzie tyle pożyczają od Gospodinowa autorzy scenariusza – Michael Rubinfeld i Marcin Wierchowski. W krakowskim Starym Teatrze zobaczymy bowiem historię opartą na polskich realiach, które jednak nieco różnią się od tych bułgarskich. Dlatego właśnie reżyser wybrał dwa wątki fabularne – Janiny (Anna Dymna), u której zdiagnozowano chorobę Alzheimera, a która „utknęła” w stanie wojennym, a także Wiesława Serafina (Jacek Romanowski), tracącego pamięć starszego mężczyzny, który wyemigrował z kraju tuż przed 1968 rokiem. Oba te momenty historyczne są dobrze znane polskiej publiczności i dzięki temu o wiele łatwiej

nam odnaleźć się w tej historii. Choć warto podkreślić, że to zasługa doskonałego aktorstwa wszystkich postaci, bowiem sama historia oparta została przecież na pamięci osób chorujących i tracących kontakt z rzeczywistością. Jest to świetnie oddane na scenie również za pomocą niezbyt rozbudowanej, ale sugestywnej scenografii, za którą odpowiada Joanna Załęska. Meblościanka, radioodbiornik, telewizor kineskopowy, rozkładana wersalka, krzesła, stolik, a na nim nieśmiertelne przekąski, czyli paluszki. To w takich domowych dekoracjach „utknęła” Janeczka i do podobnych powraca Wiesław.

Janina próbuje poradzić sobie z poczuciem winy – zamieniła nadzieję na domowy spokój na więzienie dla przyjaciół męża. Dla Janeczki czas stanął dokładnie 22 czerwca 1982 roku, czyli w dniu mundialu, kiedy Polska pokonała Peru 5:0, a jej syn Łukasz (Szymon Czacki) obchodził siódme urodziny. To ostatni dobry dzień, kiedy rodzina była w komplecie, a który kobieta pamięta. Do kliniki prowadzonej przez Gabi Gaustyn przywiózł ją zresztą właśnie młodszy syn. Tomasz (Bogdan Brzyski),

NARODOWY STARY
TEATR W KRAKOWIE

Schron przeciwczasowy
spektakl inspirowany
książką Georgiego
Gospodinowa

adaptacja, scenariusz
Michael Rubinfeld,
Marcin Wierchowski
reżyseria
Marcin Wierchowski
scenografia
Joanna Załęska
kostiumy
Paula Grocholska
reżyseria światła
Szymon Kluz
muzyka
Marta Zalewska
choreografia
Aneta Jankowska
wideo
Borys Dubiański

premiera
1 marca 2024

Scena zbiorowa



fot. Natalia Kabanow / Narodowy Stary Teatr

brat Łukasza, odwiedza matkę rzadko, a cała idea kliniki zdaje się być dla niego raczej dobrą zabawą w duchu imprez, na których spędza czas jako dyrektor ważnego muzeum historycznego. Bracia mają zresztą bardzo różne podejście zarówno do pamięci, jak i do choroby matki, co świetnie wybrzmiewa w ich sarkastycznych rozmowach. Głosem rozsądku jest tu partnerka Łukasza (Paulina Puślednik).

Mosze (Michael Rubinfeld), syn Wiesława, przywozi ojca najpierw do Polski, a potem do kliniki. Mężczyzna wyemigrował (a raczej został do emigracji zmuszony jako polski Żyd) tuż przed marcem 1968. Wiesław niedawno stracił żonę, ale wciąż zdaje się cieszyć życiem i nową przygodą, na którą czeka, co nie podoba się jego synowi, ale za to znajdzie zrozumienie w oczach Marty. Dziewczyna osobiście zaangażuje się w proces „poszukiwania pamięci” wraz z nowym podopiecznym. Sama ma poczucie winy za to, co stało się w miejscu jej urodzenia – Chrzanowie. Przed wojną mieszkało tu kilka tysięcy Żydów, a po wojnie nie wrócił nikt. Nie wrócił, bo nikt nie przeżył.

O tym, jak wielki wpływ na teraźniejszość może mieć przeszłość, doskonale wie też sama Gabi Gaustyn, która w klinice widzi możliwość przepracowania swojej własnej historii i żałoby po śmierci ukochanego ojca. Aby to zrobić, zatrudnia profesjonal-

nego aktora (Zbigniew Kaleta), mającego odgrywać sceny z jej dzieciństwa. To właśnie dlatego potrzebuje następczyni, która przejęłaby klinikę na czas jej nieobecności, a może i na dłużej. Czy jej się to uda? Tego nie zdradzę, ale jej zmagania ze stratą ogląda się na scenie w napięciu, niecierpliwie oczekując finału tej historii.

Byłam też bardzo ciekawa, jak reżyser przełoży na scenę fragmenty książki mówiące o retropatii (pojęcie stworzone przez Zygmunta Baumana na określenie czegoś w rodzaju nostalgii za wyidealizowaną przez poprzednie pokolenia przeszłością). Stanowiło to chyba największą trudność realizacyjną, ale pomogły projekcje wideo, za które odpowiada Borys Dubiański. Mamy więc ujęcia ze współczesnych marszów, ale także z wizyt papieża Jana Pawła II w Polsce czy protestów „Solidarności”, a więc ważne i czytelne dla historii Polski sceny. Ten motyw wprowadza jednak wyraźnie jakąś nutę niepokoju już nie o to, jaka była przeszłość, ale o to, jaka czeka nas przyszłość.

Warto też podkreślić, że aktorzy bardzo często grają zarówno konkretnych bohaterów, jak i pewne większe i pojemniejsze figury. Dzieje się tak w przypadku świetnie poprowadzonej postaci Zbigniewa Kalety, który nie tylko gra konkretnego ojca konkretnej dziewczynki, lecz również w jednej ze scen

staje się figurą ojca w ogóle. Podobnie jest z „wojną” braci, która obrazuje zarazem większą opowieść, czy z postacią Marty, będącej symbolem młodego pokolenia, które zaczyna pytać o niewygodną, traumatyczną przeszłość, bo potrzebuje zrozumieć.

W tym spektaklu nie ma właściwie żadnych fałszywych nut. Aktorzy perfekcyjnie zagrali swoje role, opowieść nie dłużyła się ani przez chwilę (spektakl trwał trzy i pół godziny z przerwą), scenografia, muzyka (Marta Zalewska), światło (Szymon Kluz) – wszystko to stworzyło doskonałą opowieść o pamięci, podróży w czasie, wspomnieniach, powrotach, olśnieniach i rozczarowaniach. I chyba większość widzów wyszła z teatru właśnie z poczuciem nostalgii za czasami, w których czuliśmy się bezpiecznie i dobrze. Bo to także opowieść o kole historii, która lubi się powtarzać w nieco innych maskach, ale jednak z tym samym jądrem. Bo nowych, młodych pokoleń tak naprawdę żadna historia nie może uchronić przed popełnianiem błędów poprzedników. I żaden schron przeciwczasowy nie daje gwarancji, że możemy cokolwiek ocalić, nawet gdy wiemy, że za chwilę coś się wydarzy. Powieść Gospodinowa bez wątpienia była doskonałą materią do rzeźbienia na scenie, ale twórcy wcale nie mieli gwarancji, że to się uda – a udało się doskonale. ■